

Kronika tygodniowa.

Pokazuje się, że zupełnie wystarczy wspomnieć w kronice o wielkich gorączkach, aby temperatura momentalnie się obniżyła. Pisząc poprzednią kronikę, pozostawał autor pod wrażeniem zbliżającej się już do nas wielkim krokiem kanikuły, zapowiedzianej uroczystie przez naszych meteorologów, gdy numer *Nowości Ilustrowanych* wydobywał się z uścisków maszyn drukarskiej, było zupełnie inaczej, amatorowie słonecznych kąpeli narzekali głośno na brak słońca, upusty niebieskie dla uczczenia imienia św. Medarda powoli się otwały z czego najbardziej był zadowolony zarząd miejskich wodociągów, uzależniający dopływ wody zwłaszcza w wyżej położonych dzielnicach od stanu wody we Wiśle.

Ponieważ obecnie są w modzie wszelakiego rodzaju plebiscyty i ankiety, urządził kronikarz w krótkiej drodze wywiad wśród swych znajomych i politycznych przyjaciół, aby zasięgnąć ich opinii, czy uważają za korzystniejsze lato suche i skwarne, czy też dżdżyste i chłodniejsze.

I pokazało się, że nawet w takiej, na pozór zupełnie błachej kwestii o zgodzie i jednomyślności mowy być nie może, nie powinno zatem dziwić nikogo tak długo trwające tworzenie się obecnej naszej większości sejmowej. Kwestya deszczu lub pogody ma w naszym życiu społecznym stosunkowo mniejsze znaczenie, niż okoliczność, kto nadaje ton naszym rządcom, jeśli zatem pierwsza napotyka na trudności, cóż dopiero mówić o drugiej. A w kwestii pogody zdania podzieliły się mniej więcej równomiernie, połowa oświadczyła się stanowczo za deszczem, połowa za pogodą. Jak się okazało przy bliższych badaniach do pierwszych należeli wszyscy ci ojcowie rodzin, którzy nie posiadają pieniędzy na pokrycie wydatków połączonych z wyjazdem żywego domowego inwentarza na świeże powietrze i mających nadzieję, że spodziewana niepogoda zatrzyma go w domu, co odbija się bardzo korzystnie na stosunkach domowo-kieszeniowych. Przeciwnego zdania są natomiast wszyscy ci, którzy wynajęli już mieszkania na lato i zapłacili za nie czynsz, bez względu na to, czy w złotych, czy w markach polskich i teraz boją się, że pieniądze mogą przepaść, bo rodzina z powodu niepogody z miasta się nie ruszy, a trudno będzie znaleźć podnajemcę, choćby nawet z pewną stratą.

Interpelowany przez nas Zakład Czyszczenia miasta oświadczył kategorycznie, że mu zupełnie wszystko jedno, deszcz czy pogoda, po deszczu bowiem błoto, a przy pogodzie tumany kurzu, a tak z pierwszym, jak i z drugim dość kłopotu i zupełnie słuszny powód do narzekania publiczności na miejskie porządki. Utało się już w opinii publicznej, że żaden urząd nie może istnieć bez tak zwanych zaległości, musi je mieć z tem także i Zakład Czyszczenia Miasta, a gromadzi je nie na biurkach lub w szafach, lecz na ulicach, wobec czego publiczność zwraca na nie baczniejszą uwagę i alarmuje, czasem nawet niepotrzebnie, opinię. Winę ponosi w tym wypadku sama pogoda, u nas bardzo niestała i nie sobie nie robiąca nawet z takich powag, jak przepowiednie stuletniego kalendarza, dlatego tak nazwane, ponieważ powtarzają się dosłownie przez sto lat z rzędu. Pod naciskiem opinii publicznej wydaje Zakład Czyszczenia Miasta rozporządzenie usuwania zaległości śmieciowych i praca postępuje zupełnie normalnie naprzód, gdy tymczasem zaczyna kapać z niebios miły deszczyk, śmieci zamieniają się na błoto, a na tegoż uprzątnięcie potrzeba osobnego zarządzenia, zanim to zaś wyjdzie, pod wpływem promieni słonecznych błoto zamieniło się na kurz. I tak w koło Macieju.

Najmniej oczywiście cieszą się z deszczu ci, którzy chodzą w podartych trzewikach, bo narazie tylko bosonogie tancerki są w modzie, na ulicy można się zaś pokazać bez kapelusza, ale nogi muszą być koniecznie czemś okryte, choćby nawet to coś miało aż nazbyt otworów wentylacyjnych ze wszystkich stron. W grę wchodzi także i parasol, należący dziś do prze-

dmiotów zbytku i skutkiem tego uwzględniany przy obliczaniu podatku majątkowego, jak niegdyś samochody przy daninie państwowej. Za środkowy drążek z parasola i to do tego ze złamaną rączką, oraz za kilka drutów z niego otrzymał kronikarz od handelfesa w markach polskich tyle, ile przed wojną płaciło się za samolot. Otrzymanie w spadku starego parasola, choćby nawet i dość widocznie dotkniętego zębem czasu, może nie jednej rodzinie urzędniczej, tembardziej zaś literacko-dziennikarskiej pomódz bardzo wydatnie. Ponieważ zatem rzadko kto rozporządza parasolem, a szczęśliwiec, posiadający go, jest w strachu, by nie doznał uszkodzenia na deszczu, mniej więcej dziesięć procent ogółu oświadcza się stanowczo za pogodą, za latem choćby najbardziej skwarne, bo to może wpłynęłoby na zaprowadzenie u nas raz nareszcie mody „listka figowego“, o czym swojego czasu wspominał *Kuryerek*. Zmieniłaby wówczas rura naszym panom krawcom i szewcom, zarobiłaby gmina zastępując miejsce listków figowych liśćmi kasztana, bardziej estetycznymi, choć może mniej trwałymi.

Na wprowadzenie tej mody nie można jednak liczyć, choć zgodziliby się na nią także i ci, którzy dziś są stanowczo za chłodnym latem, umożliwiającem im stałe pojawianie się w zarzute, nieraz nawet bardzo jesiennej, pod pretekstem troskliwości o swe zdrowie, a w gruncie rzeczy z powodu, iż ich letnia garderoba przedstawia się bardzo opłakanie i lada chwila grozi upadłością.

Czy więc będzie pogoda i ciepło, czy deszcz i chłódno, jedni będą narzekać, drudzy się cieszyć, kronikarz, jako praktyczniejszy, jest za deszczem, bo w takim razie Weronika zostanie w Krakowie, a co ważniejsza, po deszczu będzie więcej grzybów, a jest on ich wielkim amatorem. Ponadto, ponieważ, w roku bieżącym obchodzi pewnego rodzaju mały jubileusz, spodziewa się, że jego przyjaciele polityczni i wielbiciel talentu złożą mu w darze honorowy parasol, który ułatwiłby mu zdobywanie wiadomości „na własnym drucie“. Podobno w tym celu zawiązał się już szerszy komitet obywatelski, mający tę sprawę wziąć pod obrady zaraz po załatwieniu się z królem rumuńskim.

Na czerwiec mamy zapowiedzianą w Krakowie dwudniową wizytę prezydenta Wojciechowskiego, na którą z góry cieszą się już wybrani, notując ją w swych rozkładach czynności obywatelskich w sposób następujący: „15 czerwca piątek rano, śniadanie w Województwie, wieczorem przyjęcie, urządzone przez Akademię Górniczą. 16 czerwca, sobota śniadanie u prezesa Warańskiego, wieczorem bankiet miejski w salach Starego Teatru“. Taki szczęśliwiec ma zatem na dwa dni zabezpieczoną gratisową wyżerkę, trzeba tylko umieć chodzić koło siebie i dać poznać swe obywatelskie cnoty, aby zaproszenie uzyskać. Gorzej będzie z wizytą króla rumuńskiego o ile zawadzi o Kraków, koronowanym głowom nie zawsze bowiem pokazać można całą miejską menażeryę.

O drobnych wycieczkach, jakie miasto nasze w tym czasie nawiedzają, nie wspominać, nie odnosimy z nich bowiem żadnej korzyści. Roznoszą wprawdzie naszą sławę po świecie, ale równocześnie objadają nas i w ten sposób przyczyniają się do zwiększenia drożyzny, będącej następstwem każdej wędrówki narodów.

Nie sobie z grożącej ciągle niepogody nie robiąc, wyrukował nasz Konik Zwierzyniecki w oktawę Pożego Ciała na Rynek krakowski ku wielkiej uciechu tłumu, oglądającego go co roku z tą samą, nigdy nie słabnącą ciekawością. Niezadowolony był podobno tylko urzędujący ten obchód, gdyż datki na rzecz Konika sypały się stosunkowo dość skąpo, bo inteligent, który dałby chętnie swój bakczysz, niema na to, robociarz zaś, rozporządzający kapitałami, powiada sobie, że za takie głupstwa płacić nie warto.

Na Koniku skończyła się serya wiosennych obchodów ludowych, krakowskich rozpoczętych Emausem, mających w dalszym ciągu odpust na Skalce i wycieczkę w Zielone Świąta na Bielany. Pozostają jeszcze Wianki, tradycyjny odpust w Tyńcu w dzień św. Piotra i Pawła poszedł już zupełnie w niepamięć.

Śmiały krok Konika Zwierzynieckiego, nie bojącego się deszczu, choć nie miał parasola, podzielał widocznie na św. Medarda. W piątek, ósmego czerwca, obchodzi ten święty swe imie-

niny, a choć Medardów jest między nami stosunkowo nie wielu, dnia tego oczekujemy zawsze z niecierpliwością, bo ojcowie nauczyli nas że ten święty, to wielki bekasa i niech się tylko rozplacze, to ani rusz go utulić co najmniej przez dni czterdzieści. W roku bieżącym spisał się, choć bowiem rano wylał nam na głowy trochę deszczu, popołudniu pogoda zaczęła się ustalać, ale temperatura, jakoś nie chce się podnieść i ani rusz nie możemy się doczekać owych tropikalnych upałów, które w tym roku miały się nam dać we znaki. Wybierający się na świeże powietrze zabierają zatem ze sobą i ciełe okrycia, a jeden ze znajomych kronikarza, czytawszy w *Kuryerku* o górach lodowych, kąpiących się w Atlantyku i opadach śnieżnych w Anglii i Czechach, nie zapomniał nawet i o futrze; być może także i dlatego, aby w czasie jego nieobecności w Krakowie nie pozbawili go nasi kochani nieprzyjaciele cudzej własności tak cennego dobytku.

Z powodów poprzednio wyłuszczonych, t. j. niepogody i zimna, a nadto epidemicznie panującego wśród inteligentów braku gotówki wyjazd do letnisk i uzdrowisk przedstawia się bardzo słabo, a przyczyniły się do tego także i nadchodzące z stamtąd alarmujące wieści o szalonej drożyznie mieszkań i artykułów spożywczych. A bez jednych i drugich letnicy obejść się nie mogą. Opowiadają naprzykład, że w okolicy Rabki nie zaajdzie się mieszkania na lato niżej miliona, a wydać tyle pieniędzy, aby tam umrzeć z głodu to lekkomyślność, na jaką nie zdobędzie się nawet niejeden paskarz miliarder, dbający przedewszystkiem o to, aby jego grzesznemu cielsku na niczem nie zbywało. Samo łyknięcie świeżego powietrza nie wystarczy, woli zatem wdychać zgęszczone wyziewy krakowskie, a mieć co zjeść i czem popić.

W świecie politycznym nie wiele także rozmaitości. Nasza większość sejmowa i wyłoniony z niej gabinet trzymają się dotąd jakoś szczęśliwie, opozycja pogodziła się jakoś z myślą, że ster rządów może przechodzić z rąk do rąk, bo wiecznie jednych i tych samych trzymać się nie może. Nowy premier wygłosił swe *expose* i otrzymał wotum zaufania, nasz Sejm okazuje się daleko przyzwoitszy, niż rumuński lub węgierski, bo u nas, co najwyżej przerywa się tylko niemiłym mowcom ich przemówienia, tam zaś uprawia się walkę na kułaki i darzy się epitetami, wśród których „wściekłe psy“ należą do najdelikatniejszych. Nasse mniejszości narodowe, do niedawna jeszcze tak głośne, spuściły także z tonu, a wszystko to razem wpłynęło niezawodnie na podniesienie naszej powagi u sąsiadów. przedewszystkiem zaś u Gdańska, odgrywającego w naszym życiu rolę czyraka, jaki się nam usadowił na karku z woli naszej przyjaciółki Anglii a dzięki smutnej pamięci Lloydowi Georgeowi.

I Litwa Kowieńska zaczyna na nas spoglądać jakoś łaskawszym okiem, co jej jednak nie przeszkadza że podstawia nam, gdzie może, nogę, bo tak każą jej Niemiec i bolszewicy opiekunowie. Ale jednym i drugim robi się coraz bardziej niewyrażnie, gdy widzą, że ich dotychczasowa polityka nie przynosi pożądaných owoców. W Niemczech ciągle niepokoje, wywoływane z jednej strony przez monarchistów, z drugiej przez komunistów, co zniechęciło nawet excesarza Wilhelma, zajmującego się obecnie głównie studiami nad biblią i podobno rozwodzącego się z nie tak dawno poślubioną Herminą. W Rosji jeszcze gorzej. Lenin, który już w roku bieżącym umierał co najmniej siedemnaście razy, z tego co najmniej pięć razy naprawdę, umrzeć jakoś nie może, ale bolszewia pozbawioną jest *de facto* głowy, pozostały jej natomiast ręce, a te kradną, ile się da i gdzie się da. Dawniej sowieci ratowały swój honor szumnymi notami do świata, ale musiały zerwać z tą metodą, gdy Anglia zaczęła im nie na żarty pokazywać zęby. Cziczeryn rozsyła jeszcze wprawdzie noty, grożąc wysnuciem dalszych konsekwencji, ale tylko do Szwajcarii z powodu zastrzelenia Worowskiego i z tego samego powodu do Ligi Narodów, wiedząc, że ani jedna, ani druga nie okaże się tak niegrzeczną, jak nowy rząd angielski.

